

Jan Klata: mój moskiewski służył na łodzi podwodnej

– Moje najbardziej dojmujące doznanie z pobytu w Moskwie to jak my – Polacy i Rosjanie – jesteśmy do siebie podobni. Łączy nas niemal wszystko.

Nie zdajemy sobie z tego sprawy, ale oni dobrze to wiedzą. Traktują nas jak młodszego, trochę opóźnionego brata, który dał się Amerykanom zbisurmanić, ale i tak wróci. Bo nie ma innego wyboru – twierdzi reżyser Jan Klata, który wrócił z Moskwy, gdzie w teatrze MChAT wyreżyserował „Makbeta”.

ROZMOWA Z
JANEM KLATĄ
dyrektorem Starego Teatru w Krakowie

ŁUKASZ GRZESICZAK: W jakich okolicznościach dostał pan propozycję reżyserowania „Makbeta” w słynnym moskiewskim teatrze? Jak wyglądały przygotowania?

JAN KLATA: Kilkanaście miesięcy temu otrzymałem zaproszenie do pracy w Moskwie. Przyjeżdżałem, oglądałem aktorów, przymierzałem różne warianty. Postanowiłem zrobić „Makbeta”. Wybór tekstu początkowo nie spotkał się z entuzjazmem ze strony rosyjskiej, w końcu kierownictwo MChAT-u dało się jednak przekonać. Nie demonizowałbym tego zresztą. W Moskwie czekały na mnie fantastyczne warunki pracy oraz wspaniali aktorzy, z wslawionym główną rolą w genialnym filmie „Idź i patrz” Aleksiejem Krawczenką na czele. W warunkach obustronnego entuzjazmu przystąpiliśmy z aktorami do prób z moją polską ekipą. Justyna Łagowska odpowiadała za scenografię, kostiumy i światło, Robert Piernikowski za muzykę, a Dominika Knapik, z którą pracowałem pierwszy, ale mam nadzieję nie ostatni raz, za choreografię. To była chyba najcięższa z moich prac, ale być może jedna z najważniejszych. MChAT to niezwykle renomowany teatr, jeden z najważniejszych na świecie. Wiadomo: Czechow, Stanisławski, Niemirowicz-Danczenko... Mewa w herbie nieprzypadkowa. Moja praca przypadła na okres ogromnego napięcia na linii Rosja – NATO. Codziennie przed próbami sprawdzałem, czy Turcy zestrzelili kolejny rosyjski samolot i czy aby nie jesteśmy już w stanie wojny. Wszystko w klimacie „Makbeta”. Nudno nie było. Na szczęście nie mam jak posiwieć!

Przypomnijmy, że „Idź i patrz” to popularny radziecki dramat wojen-

MICHAŁ LEPECKI





Makbet

Jan Klata

urodził się 1973 roku w Warszawie. Studiował na Wydziale Reżyserii Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie, a następnie na Wydziale Reżyserii Dramatu PWST w Krakowie. Jako reżyser teatralny zadebiutował w 2003 roku „Rewizorem” Mikołaja Gogola w Teatrze Dramatycznym im. Jerzego Szaniawskiego w Wąbrzychu. Reżyserował na deskach teatrów m.in. we Wrocławiu, w Gdańsku, Bydgoszczy, Krakowie i Warszawie oraz Gazu, Dusseldorfie, Bochum i Berlinie. Od 2013 roku pełni funkcję dyrektora Narodowego Starego Teatru im. H. Modrzejewskiej w Krakowie. Niedawno przygotował „Makbeta” w popularnym moskiewskim teatrze MChAT.

ny o nastolatku, który wbrew woli matki zostaje partyzantem. Dlaczego akurat wybrał pan „Makbeta”?

- „Makbet”, wystawiony w Moskwie 700 m od Kremla i 900 m od Łubianki, ma nadzwyczajną intensywność. To jeden z najbardziej klasycznych dramatów o tym, co zło robi z człowiekiem, o tym, co się dzieje z władzą, która sądzi, że panuje nad przyszłością. Brzmi znajomo? Czy jesteśmy w stanie uciec swojemu losowi? Czy skazani jesteśmy na fatalizm? Czy jesteśmy tylko pionkami, którym wydaje się, że wypełniają własną wolę, ale tak naprawdę grają w scenariuszu napisanym przez kogoś, który wiedzie nas, naszą zbiorowość, nasz naród, nasze państwo do zguby. W mojej ocenie to bardzo słowiańskie pytanie.

Skąd u pana ten pesymizm?

- Ciekawe, skąd? Hmm, może dlatego, że nie urodziłem się w Monako... Czy najlepsze, co możemy zrobić, to uczestniczyć w kolejnych monumentalnych masakrach, czy wszystko, co nam zostaje i ostateczną próbą nas, jako słowiańskiej wspólnoty, jest danina krwi? Wie pan, MChAT jest w samym centrum Moskwy. Wystarczy wybrać się na kilkunastominutowy spacer, aby sycić się niezwykle depresyjną opowieścią o topografii władzy i zwycięstwach odniesionych w imię nieprawdopodobnych ofiar i wyrzeczeń. Kiedy było trzeba, to car Aleksander triumfalnie wjechał do Paryża, kiedy chcieli zdobyć Berlin, to zdobyli Berlin. Rosjanie robią to, co akurat będą chcieli, za każdą cenę. To myślenie, które jest rdzeniem rosyjskiej zbiorowości, od czasu kiedy pozbyli się polskiej załogi na Kremlu.

Dlaczego dyrekcja pierwotnie nie chciała zgodzić się na tę sztukę? Z obawy przed jej antyputinowskim wydźwiękiem?

- Nie demonizowałbym faktu, że MChAT nie powiedział od razu temu tytułowi „tak”. Dużo ryzykowali, na każdym polu. Zresztą, „Makbet” jest uważany za pechowy tytuł, wiele środowiskowych przesądów jest związanych z makbetyczną kłutwą, najczęściej nawet nie wymienia się tytułu, żeby nie kusić licha, mówi się, że to „szkocka sztuka”. No więc wyreżyserowałem „szkocką sztukę” w sercu Rosji. Chcę wyraźnie powiedzieć, że mnie nie spotkała w Rosji żadna cenzura, zrobiłem to, co chciałem.

Jaki jest pana „Makbet”?

- „Makbet” jest o widomym, osobowym działaniu zła w świecie, o władzy wyprowadzonej na manowce, o bohaterskim - w moim mniemaniu - wodzu, który dał się oszukać. Mało mnie to, szczerze powiedziawszy, interesuje, jak to się ma do kolejnych konkretnych kroków podjętych przez tego czy innego przywódcę w drodze po władzę. Oczywiście czytałem sporo biografii i w ten sposób odrobilem swoje zadanie domowe, ale aluzje nie są potrzebne. Makbet jest przede wszystkim żołnierzem, człowiekiem, który nie może inaczej funkcyjono-

wać, niż wykonując rozkazy. I jeśli nie jest w stanie wykonywać rozkazów króla Duncana, bo go akurat zabił, to będzie otrzymywał rozkazy od kogoś innego. Po nowe idzie do wiedzy. „Makbet” jest medytacją nad sztuką zabijania. Jak to jest, że zabijanie do pewnego momentu jest dobre i bohaterskie, a po przekroczeniu tej linii już jest zło i zdradzieckie? Kto o tym decyduje? Władza?



Nie demonizowałbym faktu, że MChAT nie powiedział od razu temu tytułowi „tak”. Dużo ryzykowali, na każdym polu

Spółeczeństwo? Historia? Słynne powiedzenie mówi, że jak się zabije jednego człowieka, to jest się mordercą, a kiedy się zabije 100 tysięcy ludzi, to jest się wielkim przywódcą, jest ciągle prawdziwe pod każdą szerokością geograficzną, tylko na wschodzie dzieje się to w sposób nieco bardziej bezceremonialny... Może opowiem moskiewską dykteryjkę?

Bardzo proszę...

- W stolicy państwa robotników, chłopów i wszystkich zdobywczy społecznych w teatrze nie funkcjonują

związki zawodowe, więc jeśli akurat zdarza się przypadkowo taki reżyser pracoholik z Polski, to pracujemy po kilkanaście godzin na dobę. Przez cały miesiąc łącznie na sobotami i niedzielami. Aktoży pracowali ciężko, aż przyszło święto, więc dla odmiany przyszli do pracy. To był Dzień Mężczyzny, podobnie jak Dzień Kobiet hucznie obchodzony w Rosji. Oficjalna nazwa tego święta to Dzień Obrońcy Ojczyzny. Tu nie chodzi o to, że ktoś urodził się z ptaszkiem, ale że nosił mundur i walczył za ojczyznę. Wszyscy moi aktoży to święto biorą bardzo na poważnie. Proszę pokazać mi artystów w innym kraju, dla których byłoby to tak ważne.

Na poważnie, czyli jak?

- Aleksiej Krawczenko (Makbet) służył trzy lata na atomowej łodzi podwodnej. Makduf, który w sztuce zabija Makbeta i przywraca sprawiedliwość, przez siedem lat był w szkole kadetów. Ten aktor od 12. do 19. roku życia chodził w mundurze, dopiero potem zdecydował, że może zostać artystą. Mentalność została mu żołnierska. Witia Choriniak, który gra Makdufa, przypomina rosyjskiego Apolla - wysportowany, pięknie zbudowany, tysiąc pompek na śniadanie. Więc Witia składa Robertowi Piernikowskiemu życzenia z okazji Dnia Mężczyzny. - Służyłeś w wojsku? - pyta Witia. - Nie - odpowiedział Robert. Witia się speszył, nie wiedział, czy składać Robertowi te życzenia, czy jest mężczyzną czy nie... Aż w końcu wystrzelił: - Nie służyłeś, to nic. Jeszcze będziesz służył. Nie mam żadnej wątpliwości, że gdy grają surmy bojowe, to Witia nie będzie uciekał przed wojskiem, tylko weźmie i się ochoczo zaciągnie, podobnie jak wszyscy z obsady „Makbeta”. Być może gdzieś się spotkamy w okopach naprzeciwko. Szczerze powiedziawszy, wolalbym raczej, żeby doszło do wymiany ognia z dystansu. Nie wyobrażam sobie zwycięskiej walki na bagnety z Witia... No, ale Leicester wygrało ligę angielską, więc cuda się zdarzają...

Jest pan zafascynowany Rosjanami?

- Trzeba być bardzo ograniczonym artystą, żeby tam pracować i nie być pod wrażeniem szczególnej relacji pomiędzy ludźmi sztuki a społeczeństwem. Zwłaszcza jeśli chodzi o teatr. Jednak moje najbardziej dojmujące, ale jednocześnie najbardziej rozczulające doznanie z mojego pobytu w Moskwie mówi o tym, jak my - Polacy i Rosjanie - jesteśmy bardzo do siebie podobni. I jak bardzo to wypieramy... zupełnie nieprawdopodobne. W Polsce udajemy, że jesteśmy Niemcami, jeśli chodzi o kulturę pracy, Francuzami w kuchni i Włochami na polu dizajnu. Tak naprawdę jesteśmy niezwykle blisko Rosjan. My nie zdajemy sobie z tego sprawy, ale oni dobrze to wiedzą. Traktują nas jak młodszego, trochę opóźnionego brata, który dał się Amerykanom zbiurmanić na podwórku, ale i tak wróci. Bo nie ma innego wyboru. Bardzo nam do nich blisko. Alfabet jest inny,

ale język podobny. Łączy nas niemal wszystko. Przez ostatnie kilkadziesiąt lat głupio wyparliśmy się tego powinowactwa.

Jakieś konkrety? Poza tym językiem...

- No to proszę wskazać rzecz, w której byśmy się jakoś zasadniczo różnili? Abstynencja? Może niezwykle pozytywny stosunek do uchodźców? Albo brak sojuszu władzy i ołtarza? Mocny przywódca?

Milan Kundera w popularnym eseju „Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej” uznał Rosję za oddzielną od europejskiej cywilizację...

- Cóż, jedenaście stref czasowych, jedna szósta ładu... Nie trzeba być Kunderą, żeby to zauważyć. Nie pracowałem z Czechami, ale na pewno z aktorami, z którymi przygotowywałem „Makbeta”, mam dużo więcej wspólnego, niż z niemieckimi aktorami, z którymi pracowałem wielokrotnie, nie mówiąc o Szwajcarach czy austriackich aktorach, z którymi swego czasu robiliśmy „Ryszarda III”. Z nimi to w zasadzie mam bardzo mało wspólnego. Zwłaszcza kiedy Austriacy udowodniali, że oni w ogóle nic nie wiedzą o Hitlerze, bo przecież to nie jest ich problem, tylko niemiecki. Oczywiście rozumiem, że Czechom może być trudniej niż Polakom utożsamiać się z Rosjanami. Jednak kiedy my udajemy, że nie mamy z Rosjanami nic wspólnego i się z nimi nie utożsamiamy, to jest śmiesznie i strasznie.

Jak pana sztuka została przyjęta w Rosji?

- Jesteśmy jeszcze przed majową oficjalną premierą, choć sztuka już kilkakrotnie była pokazywana publiczności. Odbyły się dwa pokazy, oficjalna premiera odbywa się w Rosji w momencie, kiedy na spektakl zapraszani są recenzenci. Oczywiście są już pierwsze recenzje. Najważniejszy kanał rosyjskiej telewizji podobno nazwał nowego „Makbeta” niezwykle widowiskowym miksem „kiczu, psychodelii i niepowtarzalnych wrażeń”, przywołując Szekspirowski cytat „Stać mnie na wszystko, co może zrobić człowiek, kto się na więcej waży, jest bestią” jako motto reżysera. Poetycko bardzo... Wpisy na bardzo popularnym rosyjskim Facebooku są podobno liczne i wielce pozytywne. MChAT pod kierunkiem legendarnego Olega Tabakowa jest bardzo eklektyczny, wystawiane są tu różne spektakle, więc część bywalców jest w szoku. Kilkaście osób wyszło ze spektaklu. To normalne i zdrowe podejście, że wychodzą, jak im nie odpowiada. Jedni wychodzą, inni przychodzą. Moskwa to jedna z największych metropolii w Europie, więc mam nadzieję, że będzie coraz więcej widzów, którzy przyjdą zachęcani przez tych, którzy już przedstawienie widzieli. Z aktorami udało się nawiązać przymierze, jak będzie z publicznością - trzeba sprawdzić. Cóż, pożyjemy - zobaczymy. ●

ROZMAWIAŁ LUKASZ GRZESICZAK